

***Sędziowie* i *Trzy kobiety* czyli Cztery razy Wyspiański, raz dokoła jego żona Teodora**

Należę do tych szczęśliwców, którzy z racji swojej daty urodzenia mieli możliwość zobaczenia na żywo spektakli dziś historycznych, jak na przykład słynną "Balladynę" z hondami na scenie w reżyserii Adama Hanuszkiewicza w Warszawie (1974), czy "Wyzwolenie" w reżyserii Konrada Swinarskiego w Krakowie (1974), a także bądź ile różnych sztuk teatralnych w różnych miejscach na świecie od inscenizowanych tradycyjnie po supereksperymentalnie. Uważam się za pilną miłośniczkę teatru, choć daleko mi do fanatyzmu typu "każda premiera jest moja". Po prostu lubię, gdy porywa mnie dobry teatr. Daję się porwać, zahipnotyzować i odmienić. Co jednak, kiedy teatr mnie nie porywa? Nie hipnotyzuje? I nie odmienia?

<https://www.youtube.com/watch?v=9Mox1ZK-FS0&t=50s>

Wtedy przede wszystkim jestem zaskoczona. Bo jak to? Dałabym się porwać, ale nie porywa? Dałam się odmienić, a nie czuję się odmieniona? Hipnoza się nie udała? Magia nie zadziałała? Mój to błąd, czy teatru? W sumie trudno wyczuć, ale że zdarza mi się to bardzo rzadko, bo jednak jestem bardzo, a nawet, jak uważam, wyjątkowo podatna na magię teatru, zwałam winę na teatr. Ostatnio dwa razy pod rząd. Najpierw ci dziwaczni "Sędziowie" w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie, a teraz, wczoraj, "Trzy kobiety" na deskach Teatru Miniatura, małej scenie Teatru Słowackiego w Krakowie. Ki diabeł? Rozprawię się z czortem w dwójnasób jednym klapnięciem.

"Sędziowie", to Wyspiański, "Trzy kobiety", to o Wyspiańskim. Wyspiański, jak wiadomo, był wizjonerem teatru, czarodziejem słowa, ale, co też wiadomo, był wzrokowcem, voyeuem, teatr to był dla niego ożywający obraz. Nic dziwnego, już jako chłopiec przyglądał się pracy Matejki, chłonał monumentalne sceny z historii Polski jakby właśnie się odbywały, z pewnością widział też zbiory rekwizytów skrupulatnie gromadzonych przez Matejkę, żeby jak najwierniej oddać wydarzenia z minionych wieków. Wiemy też z przekazu choćby Adama Grzymały-Siedleckiego, współczesnego Wyspiańskiemu, z jak ogromną pieczołowitością autor "Wesela" dbał o to, by na premierze sztuki w dniu 16 marca 1901 roku wszystko było dopięte na ostatni guzik, w tym, zwłaszcza, scenografia i kostiumy.

Było to dla niego niezmiernie ważne. I równie niezmiernie ważne jest dla odbiorcy, bo sztuki Wyspiańskiego trafiają do widza przez zmysł wzroku. Oczywiście trudno, żeby ponad 100 lat było ciągle tak samo. Każde pokolenie ma prawo do swojej interpretacji sztuk Wyspiańskiego. I zdziwiłby się Wyspiański, gdyby wiedział, jak bardzo swojej a jak mało jego. Ale Wyspiański dawno nie żyje, a coraz to młodszy od niego twórcy teatru mają swoje widzenie w swoich czasach i trudno, żeby było inaczej. Jeśli jednak interpretacje polegają na oszczędzaniu na scenografii i kostiumach, eksperymenty na serwowaniu oczom widza czegoś, co nijak ma się do treści, zaprzecza więc Wyspiańskiemu, za to są dziwnie podobne do siebie, jakby eksperyment mógł być tylko jeden, a mianowicie granie w strojach współczesnych w ledwie zaznaczonej scenografii, jeszcze mniej, niż umownej, to pierwsze, co ja, widz, wynoszę z teatru, jest przykra świadomość, że teatr biednieje. Że nie jest to teatr na bogato, ale teatr na ubogo. I to mnie boli.

Nie mam tu pretensji do twórców teatru, nie zarzucam nic aktorom, bo zdolni jeden przez drugiego, co widzę, to widzę za tym politykę "oszczędzania do granic możliwości" na kulturze. Wczoraj, na "Trzech kobietach" było nas,

jak policzyłam, 32 osoby (mogę się mylić o jakieś 2, 3, liczyłam w czasie przerwy, może akurat ktoś utknął w toalecie, lub wyszedł na papierosa). $32 \times 40 = 1280$. 40 zł to pełna cena biletu, studenci czy emeryci płacili 30 zł. Czy za ca 1000 zł da się zrobić spektakl full wypas ze wszystkim kosztami, gażami, opłatami? Ano, cudów nie ma. Nie da się. I to mnie wnerwia! Teatrowi przydałyby się rewolucje podobne rewolucjom kulinarnym Magdy Gessler, która wytłumaczyłaby odpowiednim "czynnikiem", że jeśli produkt jest marny to i danie nie będzie smakować, a jeśli nie będzie smakować, to nikt nie przyjdzie po raz drugi i przybytek można będzie wkrótce zamknąć. Mnie w każdym razie nie będzie się chciało po raz drugi (a nawet trzeci, jeśli policzę te dwa spektakle raz za razem) wychodzić z domu w paskudną zimową pogodę, poświęcać wieczorów na takie przeżycia i jeszcze dopłacać do tego za bilety. Za darmo by mi się nie chciało!

<https://www.youtube.com/watch?v=m0LUU6akbrw>

Zaznaczyłam, że pretensji do aktorów nie mam, bo dawali z siebie wszystko, ba, wręcz wychodzili ze skóry, jeśli więc coś chcieliby ode mnie usłyszeć, to to, żeby się tak nie spinali, bo talent polega między innymi na tym, że ciężka praca ma się odbyć w fazie ćwiczeń i przygotowań, samo zaś granie ma być tak lekkie, jakby żadna harówka za tym nie stała. Dobry pianista siada, ot, do fortepianu, i melodia płynie jakby sama się grała. A "gra się sama", bo pianista kilka godzin dziennie w pocie czoła ćwiczy. Ale ja, słuchacz, nie chcę widzieć tego potu, i nie chcę się z pianistą męczyć, chcę się odprężyć i posłuchać gry bez świadomości wysiłku, jaki za tym bez wątpienia stoi.

A przenosząc to na wczorajsze aktorki (oraz aktorów z 31 stycznia z "Sędziów"): na scenie - mówię to cały czas z jednego miejsca dla publiczności, więc wyłącznie w swoim imieniu - musi współgrać wszystko, tekst, scenografia, kostiumy, melodia, dźwięki, aktorzy. Sami aktorzy choćby wyszli z siebie, całości efektu, jaki powinien wywołać w widzu spektakl, nie załatwią. Ale próbują. Coraz głośniejsze, coraz dziwniejsze, coraz bardziej na siłę. Robię z tego zarzut, gdyż reakcja widowni jednak coś wyraża, a wczorajsza wyrażała doprawdy niewiele. I nie jest to zarzut braku talentu, a nadmiaru ekspresji. Czymś trzeba widza, jak to się dziś mówi, przyciągnąć do teatru (czyli de facto wyciągnąć z domu), a jeśli nie hojnością kasjera na zrealizowanie spektaklu od strony scenografii i kostiumów, to wyciskaniem siódmych potów z aktorów. Niech widz wie, że aktor się stara. Ale otóż tego właśnie widz wiedzieć nie chce, bo widz nie chce się zmęczyć, tylko odprężyć.

Więc teraz do samego Wyspiańskiego, autora ("Sędziowie"), lubo bohatera ("Trzy kobiety") obu moich wyspiańskich wieczorów: Adam Grzymała-Siedlecki w tekstach o Wyspiańskim (w: "Na orbicie Melpomeny", wydanie 1966) pisze coś niezmiernie ważnego, a mianowicie, że kluczem do zrozumienia sztuk Wyspiańskiego jest ich strona wizualna. Że Wyspiański biorąc udział w realizacji prapremiery "Wesela" dawał szczegółowe wskazówki co do scenografii i kostiumów, że przykładał do tego ogromną wagę. Natomiast odżegnywał się od efektów specjalnych. "Reflektory? I bez reflektorów będzie efektownie", usadził reżysera Adolfa Walewskiego, gdy ten próbował się rozhuścić. W miejsce efektów integralną częścią swoich sztuk robił kostiumy, chodziło mu o "ogólną barwistość", "taniec kolorów, wstążek, pawich piór, barwnych kaftanów i kbatów". Tu akurat w "Weselu".

Ale i o "Nocy listopadowej" mam odpowiednią anegdotę: otóż w roku 1916 (w czasie wojny) cenzor próbował najpierw pozabraniać co tam się dało z uzasadnieniem "nie mogę zezwolić, bo nic z tego nie rozumiem", jednakowoż gdy zobaczył próbę w dekoracjach i kostiumach, w pewnym momencie wykrzyknął: "Wszystko już rozumiem, grać, jak jest napisane w całości, bo to arcydzieło!" - "Jest w jego obrazowości jakaś - w średniowieczu powiedziano by, czarodziejska siła, która sprawia, że niejako okiem naszym rozumiemy sens myślowy jego scen. W

istocie teatru leży oczywiście ten sekret, że zmysł wzroku więcej tu pracuje, niż słuch, ale u Wyspiańskiego przewaga optyki dochodzi do jakiegoś maksimum. /.../ własna Wyspiańskiego ręka organizowała to, co ma być widziane, a więc: co się stanie kluczem do pełnego zrozumienia dzieła", klaruje dalej Grzymała-Siedlecki.

Podsumowując, jeśli już koniecznie eksperymenty, to w kierunku dodania przedmiotom i kostiumom kolorów, a nie ich redukcji. No, ale właśnie tu stoi kasa na przeszkodzie. Więc każe nam się oglądać "Sędziów" ni to w teatrze w czasie remontu generalnego, ni to w jakiejś dziwacznej ruderze, aktorzy ubrani współcześnie, praktycznie prywatnie, miotają się po scenie, coś przeżywają, coś wykrzykują, coś ich dręczy, jakiś Bóg, jakieś sumienie, ktoś strzela, ktoś pada, krew, krew, krew, młody grajek gra na skrzypcach, ale nagle okazuje się młodą dziewczyną, a żeby nie było wątpliwości, odkrywa pierś (eksperyment transseksualny? Joasa gra Maja Pankiewicz), tekst sam w sobie, jak to u Wyspiańskiego, rwany, nic nie wynika z niczego, a jeśli nie układa się w spójny obraz, to jest jak rozsypane puzzle na podłodze. Sąd nad światem? Nad śmiercią? Nad Bogiem? Jak sobie samemu poukładać.

https://www.youtube.com/watch?v=xuYE_3hz9t8

Jedyną, co z "Sędziów" wyniosłam, to to, że jednak Wyspiańskiego trzeba grać "po bożemu", bo "po nowoczesnemu" z arcydzieła robi się sieczka. A jeśli już eksperymentować, to bez szkody dla autora i widza. Więc jeszcze raz Grzymała-Siedlecki: "ujrzenie, jakież to ważne dla każdego utworu scenicznego, a dla dramatów Wyspiańskiego w szczególności". I tylko główna para aktorów, on, Cezary Kołacz (Natan), i ona, Weronika Kowalska (Jewdocha), jawili mi się jako idealni wykonawcy do filmu biograficznego o Wyspiańskim, on - Wyspiański, ona - Teosia - który, mam nadzieję, powstanie, nim się zestarzeją, bo mamy takiego geniusza w swojej kulturze, a wydajemy na filmy z gatunku "M jak Masakra".

"Trzy kobiety" to składanka, trzy różne jednoaktówki napisane, wyreżyserowane i zagrane przez różne kobiety. Jak podaje strona Teatru Słowackiego, to "wydarzenie z pogranicza teatru, performance'u, wykładu i choreografii eksperymentalnej", ale im więcej tych wyjaśnień, tym ciemniej się robi. Bałaganiarska scenografia ma być oczywiście tym akcentem na performance, wicie się po podłodze - choreografią eksperymentalną, a wydobywanie z dźwięków kolorów - wykładem. Dobrze, wola to autorka i aktorka, Wyspiański tu jest pretekstem, jak rozumiem, więc się nie czepiam, ale niechby mnie porwały!

<https://www.youtube.com/watch?v=WoYoqPkWlFw>

No, dobrze, coś mnie jednak porwało. Rysowanie na żywo Plant pod Wawelem ("wykładała" i rysowała Magda Miklasz). Oraz taniec Teosi. Jest sierpień 1907 roku, Wyspiański w ciężkim stanie, a tu podkrakowska wieś, gdzie mieszka z żoną Teodorą Teofilą i dziećmi, Węgrzce, świętuje dożynki. Teosia lubiła się bawić, tańczyć, śpiewać, coś w niej musiało go przecież urzec i był to zapewne temperament? Więc bawi się, tańczy i śpiewa! Zachodzę w głowę, co ją w nim urzekło, ale może mu po prostu uległa? Albo był dla niej zwyczajnie dobry w przeciwieństwie do całego świata (a już szczególnie światka krakowskiego), który był dla niej zły?

Tak, taniec Teosi w wykonaniu Aleksandry Osowicz, był genialnie porywający także w swoim prostactwie,

Teosia-Aleksandra nie tańczy "ładnie", tańczy rytmicznie, ale momentami prawie pokracznie, jakby chciała wszystkie te lata choroby męża zatańczyć na śmierć, zdeptać, zatłamsić, zatupać, zadusić, zapomnieć... zapamiętuje się w tym tańcu i tańczy, tańczy bez końca, byle nie wracać do zwykłego dreptania wokół niedołęznego męża na wózku. I ten jej śpiew, i wyzwolony, i zły zarazem, i, jak to wiejskie dziewczyny przyśpiewki (i pieśni kościelne) śpiewają, a właściwie to drą się na całe gardło bez melodii... Jednak być może w rzeczywistości ani tak po chłopsku nie tańczyła, ani tak ordynarnie nie śpiewała... Przerysowania mogą być współczesną - celową - nadinterpretacją.

<https://www.youtube.com/watch?v=Uy06k3AskPI>

Zaiste dziwna to była para. Szkoda, że Teosia w wykonaniu Aleksandry nie była chociaż trochę kolorowa, jaka przecież bywała, bo Wyspiański lubił ją w ludowych strojach, a ona się tak ubierała, żeby mu sprawić przyjemność. A tekst? Tłumaczyłam go sobie na wiejską gwara. Cóż by się stało, gdyby faktycznie był taki, jak naprawdę "godała" Teosia? Że ludzie, publiczność, by nie rozumiała? Zrozumiałaby, rozumiała. Ot, "ni' lubie, jak mnie tykos, Stosku, ni' lubie".